

do których jest pani przyzwyczajona, ja sam pozbawiałem się wszystkiego. Patrz pani! miałem kilka obrazów... i te sprzedałem! Niektóre klejnoty, pochodzące jeszcze od mojej matki — również zmuszony byłem sprzedać... Miałem książki... już ich nie ma!

Hrabina była pomięszana. Teraz nie mogła już wątpić o prawdzie słów moich. Twarz moja, wyraz moich oczu, stwierdzały to, com mówił.

Wychowany w tem przekonaniu, że kobiety, w tem co dotyczy serca, szlachetności uczuć, wyższe są od mężczyzn, spodziewałem się, że hrabina zapłacze. Ileż to kobiet zachwyciłoby się tem, iż zdołały wzbudzić taką miłość! Ale tej nie znałem jeszcze!

Najpierw przygryzła sobie usta do krwi — potem zawołała:

— Opowiedz mi pan wszystko — chcę tego!

Powiedziałem więc wszystko com tu napisał, nic nie ukrywając, nic nie przeinaczając. Gdym skończył, powstała. Była w najwyższym gniewie.

— Dlaczego pan sobie tak postąpiłeś? — zapytała.

— Bom cię kochał!

— Eh! Nie trzeba było kochać mnie w ten sposób. Dlaczego nie poradziłeś się mnie, nie zwierzyłeś z niczem?

— Bom cię kochał!...

Wtedy, przybrawszy znaną mi, rozkazującą minę, która była najdokładnijszym odbiciem tego, co się działo w jej duszy, oto co mi powiedziała:

— Jakiem prawem mogłeś pan zmarnować dla mnie całą swoją przyszłość? Czy żądałam tego od pana? Czy przystałabym na to? Gdy mi pan mówił o swej namiętności, dziwiłem się zawsze żem się uśmiechała. O! óż, uśmiechałam się, nie dlatego bym o niej wątpiła, ale że miałam nadzieję zniechęcić pana. Cóż pan chce bym robiła ze związkiem poważnym i trwałym? Czy należą do siebie? Czyż nie mam zobowiązań względem towarzystwa? Namiętność zamąca życie, psuje takowe, kompromituje spokój rodzinny, reputację kobiety, łaźniejszość męża, przyszłość dzieci! Czy myślisz pan, żem mu wdzięczna za to poświęcenie? Ja go panu nigdy nie przebaczę. Lepiejby było byś się pan ożenił, jak tego życzył sobie ojciec pana. Wszyscy się żenią. Przykroby mi to było, ale ponieważ nigdy nie przypuszczałam byśmy razem spędzili życie, dałabym sobie jakoś radę. Przytem, ponieważ nie miałeś pan majątku, nie trzeba było rzucać swej posady, nie trzeba było marnować spadku po matce i zadłużać się. W jakimże to położeniu postawiłeś pan mnie! Zako hałas się pan we mnie, ja sobie podobałam pana, dowiodłam mu to, i w nagrodę za moją przychylność mam teraz zgryzołę, że widzę go zrujnowanym. Ponieważ jestem uczciwą, więc znajduję się w konieczności wynagrodzenia pana. Nie zniosę tego byś pan pomyślał o mnie, jako o przyczynie swych nieszczęść. Ale cóż mogę zrobić? W jaki to labirynt wprowadziłeś mię pan! Nie mam sposobu przywrócić panu posady, jaką zajmowałeś. Co do jego majątku, to chociaż jestem bogatą!... O! nie spiesz pan z wykrzyknikami! Znadto dobrze pana znam by być przekonaną, iż odrzucisz wszelkie restytucje. Pan jesteś tak skrupulatny we wszystkim co dotyczy pieniędzy, a tak nic nie przewidujący we wszystkim innem!...

Nic na to nie odpowiedziałam. Jeszcze raz miała słusność — i ta słusność, jak zwykle, była okrutną! W związku naszym upatrywała ona tylko rozrywkę, sposób przepędzenia czasu, być może cośkolwiek żywszego, ostrzejszego, rozrywkę niedozwoloną, która właśnie dlatego pociągala ją ku sobie. Ja w tym związku złożyłem całe moje życie! Wszystko tam zamknąłem. W naszym szczególnem położeniu jedna rzecz tylko była zbyteczną: miłość!

Ale trzeba było odpowiedzieć.

— No! — zawołała hrabina — szukaj pan, wynajduj! Co mogę zrobić dla niego? Co przyjąłbyś?

— Nie mogę zdecydować się na to, by opuścić panią! — odrzekłem. — Jakiegokolwiek jest uczucie pani dla mnie, ja je przyjmuję... Ale opuścić panią... to niepodobna!

Hrabina wydała mi się zakłopotaną. Litość, pogarda i coś podobnego do cierpienia wyraziło się na jej twarzy.

— Ale powiedzże pan nareszcie co mogę zrobić dla niego? — zapytała.

— A więc powiem — odrzekłem rumieniąc się — dzieci pani... kocham je jak gdyby były moimi. Nadeszła pora, kiedy już nie mogą się

obejść bez nauczyciela. Czy zgodzisz się na to bym ja był nim?

W takim razie nie rozłączalibyśmy się. Nie mogła powstrzymać się od ruszenia ramionami ze zdziwienia i rzekła:

— Nauczycielem? Pan?

— Wszak to mój zawód.

— Bez wątpienia — ale u mnie? To nie jest przyszłość!

— To jest chleb.

Ten wyraz: chleb, wydał się jej obraźliwym, być może, iż sama nigdy nie jadła chleba.

— Mówiłaś mi pani o mojej przyszłości — dodałem — jakieżże innej pragnąć mogę, jeżeli nie takiej by spędzić przy pani moje życie?

Zawahała się... zamyśliła, zmarszczyła brwi, potem wstając, nawet z uśmiechem, rzekła:

— Dobrze! nie h i tak będzie! Przenoszę się pan do mnie natychmiast! Będziemy razem obiadowali.

Odprowadziłem ją do drzwi. Stanąwszy na progu, odwróciła się nagle, poczęła się śmiać i zawołała, klasnąwszy w ręce:

— Jak pomyśle, że on dla mnie pozbawiał się wszystkiego, to... Boże! jakże głupi są ci mężczyźni!

## LX.

Przyjmując moją propozycję, hrabina myślała, że wszystko pozostanie jak było. Ja byłem w siódmym niebie. Obopólne nasze złudzenia rozwiały się zaraz na drugi dzień po mojem przeniesieniu się do jej domu.

Natychmiast zająłem się na seryo moim obowiązkiem. Dwa pokoje, które zajmowałem, znajdowały się tuż koło pokoju dzieci, tak że ani na chwilę nie traciłem ich z oczu. Zaraz w pierwszych dniach nawzajem bardzo przypadliśmy sobie do gustu i bezzwłocznie zacząłem przeprowadzać w praktyce plan i system wychowania, jaki uznałem za najstosowniejszy dla ich wieku i pozycji.

Ale, pozostając ciągle w domu hrabiny, jadając przy jej stole, ciągle spotykając się z nią, wiedząc o wszystkim co robi, o której godzinie wstaje, wychodzi, powraca, idzie spać, dokąd chodzi, kogo przyjmuje, ileż miałem powodów do ciągłych wzruszeń!

Nie przypuszczałem nawet, by kobieta mogła prowadzić życie takie bezsensowne i kosztowne!

Wydatki były przerażające. Sama hrabina przyznawała się, że corocznie podziwiała się jej gdzieś przeszło sto tysięcy franków, o których nic nie wiedziała.

Co do umysłowej sfery, w której żyła, słów mi braknie, by ją opisać! Towarzystwo jej składało się z dwu zupełnie odrębnych frakcji. Do pierwszej należały osoby, których nazwiska znane były w całej Europie, i które w ten lub inny sposób wysoko w świecie były położone. Takie osobistości ukazywały się u hrabiny rzadko i składały jej tylko ceremonialne wizyty. Druga frakcja, nierównie mniejsza, najwięcej dwadzieścia osób, miała swoje godziny i ukazywała się codziennie. Kobiety, należące do tego ściślejszego towarzystwa — chociaż większa ich część była uczciwa w całym znaczeniu tego wyrazu, modelowały się zewnętrznie na wzór hrabiny. Mężczyźni, byli to młodzi ludzie w rodzaju księcia Titiane, który u hrabiny nadawał ton rozmowom. Przedmiot tych rozmów był niezmiennie jeden i ten sam; toczyły się one o nowych strojach, o modnych rozrywkach, wyścigach, grze, skandalach, a zwłaszcza o czynach i ruchach nawet znakomitych kurtyzanek. Wytrwałość z jaką mężczyźni, należący do towarzystwa pani Chalis, powracali ciągle do tego przedmiotu, w formie przyzwolonej, co prawda, przekonała mię, że kobiety niezmiennie rozciekawiało wszystko, mające styczność z tą materią. Zdawało się, jakby czuły pewien rodzaj niezdrowej zazdrości, jakby celem ich byto, trzymając się w pozycji „comme il faut” popróbować choć trochę owej swobody kobiety „niezależnej”.

Księżę Titiane, jak to już nadmienilem, był duszą tych rozmów, w których niezmiennie upodobanie miała hrabina. On także wpadł na „szczęśliwy pomysł” nadawania przezwisk bliższym przyjaciółkom hrabiny. Jedną nazwał „Wenus z marchwi”, robiąc tem aluzję do jej piękności i rudych włosów, drugą: „Jedwabną skórą” z powodu cery, trzecią „Wielką księżną” z powodu wzrostu i tytułu. Co w tem było najdziwniejszego dla mnie to to, że kobiety przyjmowały te nazwiska

i same między sobą przezywały się niemi, w końcu nawet małe dzienniczki napomynały już o nich.

Księżę Titiane rozporządzał się tak samo u hrabiny, decydował o wszystkim, udzielał pochwały i nagany według tego co w swem narzeczu oznaczał sakramentalnymi słowami: „To jest szkl” albo: „To nie jest szkl”.

Dla hrabiny obecność moja była powodem ciągłej irytacji. Sama sobie ustanowiła dozorcę, niemego mentora, którego milczenie jednak rozumiała.

Ona! tak niezależna! przywykła we wszystkim spełniać swą wolę, przywykła do tego by nie zdawać nikomu sprawy ze swych czynności, przez nikogo nie być krytykowaną, znajdowała się pod okiem swego kochanka, który, w jej fałszywym przekonaniu, był prawie jej sługą.

Sądziłem, że będę mógł żyć z nią na ścieple ukrywanej zażyłości, tego pewnie od razu zażądałby każdy zręczniejszy odemnie, a nie tak skrupulatny. Ale ja czekałem na sposobność po temu. Tymczasem hrabina tak wszystko układała, a było jej to łatwe, gdyż przeszło trzydzieści osób było w jej domu, by zawsze ktoś trzeci był pomiędzy nami.

Albo też udawała, że jest cierpiącą. Długo nie chciałem tego zrozumieć, a gdy zrozumiał — było już zapóźno! Hrabina powzięła już postanowienie. Czuła, iż popełniła błąd, przyjmując mnie do swego domu i przemyśliwała nad tem tylko, jakby się mnie pozbyć.

## LXI.

Postanowiła wyprawić mnie do mego ojca — ale do tego potrzebny był pretekst. Sądziła, że go znajdzie w przybyciu swego męża.

już upłynęło dwa lata od czasu, jak hrabia widział się ze swą żoną. Nie domyślałem się nawet, że spodziewano się go. Dopiero, gdy zauważył, iż w domu hrabiny wszystko powraca do niejakiego powierzchownego porządku, że wszyscy idą spać wcześniej, wstają również, że przyjmuje się mniej mężczyzn, że rozmowy są mniej bezsensowne, ubrania nie tak ekscentryczne, wtedy dopiero począłem wypytywać się i powiedziano mi, że hrabia opuścił już Egipt i zamierza przepędzić kilka miesięcy u siebie w domu.

Mąż ten, którego znałem wówczas tylko z tego co żonie podobało się powiedzieć o nim, prawdę mówiąc, we mnie wzbudzał nie wiele szacunku i sympatii. W mojem uprzedzeniu interesownym, mogłem go jeszcze poniekąd uniewinnić, że żyje zdala od żony, ale niepodobna mi było przebaczyć mu, że pozbawia swej obecności własne swe dzieci.

Widziałem go przy obiedzie, w dzień przybycia. Był to człowiek mogący mieć około trzydziestu pięciu lat, twarzy smutnej, ale obejścia wielce dystyngowanego. W oczach miał wyraz melancholii i rezygnacji. Wypieczone na wychudłej twarzy rumieńce świadczyły, iż się jeszcze nie pozbył w zupełności choroby, której pierwsze objawy ukazały się wkrótce po ożenieniu.

Co mi się zwłaszcza podobało w nim, to dystyngcja, wyborowe wyrażanie się, wzniosłość umysłu. Wszystkimi tem górował on niezmiennie ponad mężczyznami, jakich zawsze widywałem u hrabiny.

Ona sama czuła się zażenowaną w obecności swego męża. Ona... taka samowolna! Spoglądała na niego z pewnym rodzajem uległości, co z jej strony było bardzo dziwnem. Gdy mąż mówił, słuchała go z szacunkiem, jakiego o ile wiem, nie okazywała nikomu ze znajomych. Hrabia zachowywał się z nią zupełnie tak, jak każdy dobrze wychowany człowiek z jakiegokolwiek kobietą — ale, ani wzrokiem, ani żadnem słowem, ani owymi, szczególnymi względami, tak naturalnymi w obejściu się z osobą, którą się kocha, nie okazywał hrabia, że poczytuje ją za swoją żonę. Widocznie coś musiało zająć pomiędzy nimi, coś bardzo ważnego, coś... nie do przebaczenia... o czem nie wiedziałem.

Podczas obiadu hrabia nie wiele mówił ze mną. Było nas dziesięć osób przy stole, sami ludzie poważni. A zatem nie było tam księcia Titiane. Hrabia mówił o swych podróżach. Nie śmiałem przerywać mu; zajmował mnie i mówić prawdę, imponował mi.

Ale, powróciwszy do siebie byłem zachwycony, gdy mi się przypomniał zakłopotanie hrabiny.

(Ciąg dalszy nastąpi)